Lwów 14. Lipca. Nr 83. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. 3 Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Zł. **20** kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po **1** ½ kr. i zadopłatę 10 kr. stepl. zakażdorazowe umieszczenie.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

X.

RODZEŃSTWO.

(Ciąg dalszy.)

Trzydzieści czapek zaruszało się w tej chwili na poważnych rozumach miasteczka, a był to znak powszechnego niezadowolenia. W opowieści „głupiej Marysi“ było tyle romantyki, tyle barwy poetycznej, że trudno było zimnym, miejskim rozumem uznać to wszystko za prawdę. Osobliwie niepodobny do prawdy zdawał im się sposób, jakim rodzona matka pozbywała się własnego dziecięcia.

— Głupiaś! zawołał jeden z mieszczan — myślisz, że miasto twoim baśniom uwierzy, tak jak wierzą chłopi, którym różne czary rozdajesz. Mieszczanie to nie chłopi, mospanie, są to ludzie, co coś w świecie widzieli. Na dwadzieścia mil w obwodzie znani, mospanie, jesteśmy po wszystkich jarmarkach, a ty chcesz nas w pole wyprowadzić.

— Tak tak, wołali wszyscy, — głupiaś Marysiu, głupiaś!... brakuje ci klepki w głowie i kwita!..

I w rzeczy samej było kwita, bo Marysia odeszła, a w głowach szanownych mieszczan zostało się najwyraźniejsze zero. Spojrzeli po sobie mieszczanie i przekonali się, że ubóstwo ich wiedzy było okropne. Krytyczny ich rozum odrzucił poetyczne Marysi opowiadanie, a prawdy nie wiedział. Kowal powrócił wprawdzie z powierzonej mu misyi z guzami, ale zamiast dokładnego raportu, przyniósł do zgromadzenia szeroką skargę na zawłokę Szpigla, który targnąwszy się na sakrosanktą posła osobę, targnął się na zwyczaj narodowy. Do tego zaproponował, aby szanowna gmina wybity na jego ciele guz, jako guz wybity na ciele gminnem uważać raczyła....

Zatrwożył gminę taki *casus juris*, i już poczęto *pro* i *contra* przemawiać, gdy kuśnierz Tomasz wszedł do izby obradnej. Wszystkich oczy i uszy zwróciły się na niego, a skargę kowala odesłano tymczasem do wydziału.

Pojawienie się kuśnierza uczczono powszechnem milczeniem, a widać było po nosach naprzód wysuniętych, po założonych spokojnie w tył rękach, po ustach na pół otwartych, a mianowicie po spokoju siwych czapek baranich, że kuśnierza z nadzwyczajnym słuchano ferworem, i że jego słowem *unanimiter* wierzono.

A było też co słuchać, i było też czemu wierzyć, bo kum Tomasz miał szczególny dar opowiadania, a chociaż już niemal godzinę nieustannie opowiadał, zgromadzenie jednak dotąd o niczem jeszcze nie wiedziało.

— *To tego* wreszcie — opowiadał rzecz kuśnierz — przeprosiwszy Boga i ludzi, ten Szpigel jest wielki bezboznik. Alboż *to tego* godzi się sławetnemu naszemu mieszczanowi, kumowi Białkiewiczowi wyrządzić taki *despekt?*. i w obliczu Boga i ludzi, w dzień jasny a w samą wilią św. Piotra i Pawła, najprzód nabić takiego guza, a potem *to tego* rzucić niesłychaną kalumnię.... jakoby ktoś z jego rodu miał kraść wieprze i konie?... *To tego* ten Szpigel, zawłoka jakiś, co tu dopiero w pierze porósł, a teraz z mieszczan się natrząsa... jest to człowiek bezbożny, a nawet mówią że luter czy kalwin, dosyć że heretyk. Pan Białkiewicz przychodzi do niego jak do człowieka, pięknie, z Bogiem, a ten hałaburdnik nuż do niego!.. nuż krzyczeć, nuż w ziobro, raz, drugi, trzeci — aż tu się patrzę — leci przez drzwi siwa czapka barania, a za czapką — niewierzyłem oczom — ale *to tego* było prawda — wyleciał pan Białkiewicz. Widząc *to tego*, że się na takie despekta zanosi, pomyslałem sobie: „Głupiś Szpiglu! złapałcś kowala ale z kuśnierzem ci się nie uda, o nie, nie!... Ma on rozum, bracie, lepszy od twego.“ I tak odszedłem niby ja *to tego* do kowala nie należę, i tylko sobie przez dziedziniec przechodzę. Wstąpiłem po drodze do kuchni, ale do nikogo ani *mrumru* nie rzekłem. I tak wyszedłem sobie znowu na podwórze, w tem widzę w rogu sążnistego chłopa w jakiejś karazyi, jakiej świat i korona polska nie widziała! Znam się bo na sukmanach, i wiem, że to czasem wielcy panowie lubią z człowieka dziwactwo zrobić, ale takiej kierei czy karazyi jeszcze nigdy nie widziałem... *To tego* ujrzawszy takiego człowieka, pomyślałem sobie w duchu: Wżdy to nie ludojad przecież, a jeźli jest stworzony na obraz bozki, to też z katolikiem uczciwie pomówi.“ Tak to myślałem sobie, a zbliżywszy się rzekłem:

— Niech będzie pochwalony!

A on na to:

— Wo wiki wików!

Hm, pomyślałem sobie: Tomaszu, to nie z kunami sprawa, ale z białym niedźwiedziem.... Ale koniec końcem poznałem przecież, że jest chrześcianin, chociaż nie najlepszej próby. Więc *to tego* mówiłem z nim dalej:

— A co to Waszeć do nas zagościli? — A woźnica kiwnął głową i mruknął pod nosem:

— Aha — do was!

— A jaka tam droga? zapytałem znowu.

— A ne zła, mruknął znowu i ustał.

Po chwili mówiłem znowu do niego:

— Mieliście deszcz na drodze?

— At tak, jak buwało! odpowiedział.

A ja na to:

— Mniejsza deszcz *to tego*, jeżli tylko droga nie daleka!

— Aha, odburknął mi tylko.

— To mi to deszcz panie, zacząłem znowu; kiedy to kilka dni, tydzień, dwa tygodnie leje, a człek *to tego* w podróży.

— A, tak! przemówił znowu.

— Pomyślałem sobie w duchu: Trudnać sprawa Tomaszu, z tego lisa ani czapki nie wykroi!... I tak mówiąc prawdę, gadałem z nim niemal godzinę, a z przeproszeniem Boga i ludzi jak głupi przyszedłem, takbym też i głupi wyszedł, gdyby duch święty nie był się nademną zlitował. Ale Boże odpuść mi grzechy, że tak mówię, bo też w pierwszej chwili nawet myślałem, że *to tego* ten duch, co to pod kazalnicą w kościele się znajduje, na świat wyleciał. Podobniusiuteńki jak dwie krople wody, zleciał z okna od Szpigla, i z wielkim krzykiem usiadł na moim karku, mówię na karku, bo są źli ludzie, co myślą, że ja garbaty. I gdy to pierzaste stworzenie siadło na moim karku, ja się przestraszył.. w tem wyleciała od Szpigla jakaś pani młoda i ładna, a za nią jakiś pan długi, chudy i siwy, a za tym panem jakiś drugi pan ze złotemi guzikami, a za tym wyszedł znowu z srebrnemi guzikami, dalej z cynowemi, z żelaznemi, aż nareszcie wyleciał mały chłopiec, który zamiast guzików miał pętelki z czerwonych wstążek..... potem jeszcze w oknie widziałem kilka twarzy chudych i pełnych, i Bóg wie, cobym jeszcze był obaczył, gdyby pierzasty mój ptak nie był mnie potężnie w ucho dzióbnął, tak, ażem krzyknąć musiał. Zdjęto *to tego* ze mnie to stworzenie puchaste, pan coś do mnie przemówił, ale niewiem co, bo zdaje mi się, albom dobrze nie słyszał, albom wcale nierozumiał. Pani nawet roześmiała się do mnie, czy ze mnie, bo już tego dobrze niepamiętam... a że teraz właśnie wychodzącego ze drzwi Szpigla ujrzałem, pomyślałem sobie: Tomaszu, dopełniłeś swego obowiązku, a teraz pora właśnie abyś zmykał.

Długi czas panowała jeszcze głucha cisza w szanownem zgromadzeniu, chociaż kuśnierz dawno już był swoje opowiadanie zakończył. Tyle bowiem obrazów, tyle nagmatwanej treści przemknęło po białych baranich czapkach, że sławetne miasteczka rozumy nie wiedziały dotąd, czyli co wiedzą, czyli jak przedtem w grubej są niewiadomości. Okazało się jednak po chwili namysłu, że cała kuśnierza perora przemknęła po baranich czapkach, jak przez wiotką trzcinę przemyka wiatr-rozpustnik nie zostawiwszy na niej ani śladu.

Żałowano już powszechnie, że poetyczną opowieść głupiej Marysi, w której przecie coś historycznego wątku było, tak niemiłosiernie odrzucono, a natomiast nic się nie dowiedziano. A że już słonko boże zachodzić poczęło, a nawet i na *Ave* zadzwoniono, szanowne zgromadzenie zdjąwszy czapki i odmawiając «anioł pański» ku domom swoim się rozeszło.

Tymczasem oberzysta Szpigel stracił zupełnie głowę. Biegał, krzyczał, to z polska, to z niemiecka, łaził jak majtek po drabinie, zrzucał siano i słomę, mierzał owies, łapał gęsi, kaczki, kury i koguty, a pisk, krzyk i hałas rozchodził się po całem miasteczku. Na domiar jego kłopotu, (zarobkowicze nazywają szczęście swoje kłopotem) już o samym zmroku zatoczyła się na dziedziniec jakaś przedpotopowa taradajka, a dwóch gości zażądało pokoju. Wielką miał pokusę pan Szpigel pytającemu się w odpowiedź nabić guza, jakto kowalowi był uczynił, jednak chęć zysku powstrzymała jego kułak w kieszeni. Ale o pokój trudna była rada. Po długim namyśle zakonkludował, że jeden z gości może się w jego izbie *en famille* umieścić, drugiemu jednak pozostaje tylko komórka na strychu, która w tej chwili tę miała niedogodność, że w niej sufitu nie było. Zgodzili się na to podróżni, i rozebrali między sobą role swoje.

Pan Szpigel zatarł ręce, posunął mycką na bakier, i jakby wielkiego dokonał dzieła, poszedł wreszcie na miły po pracy odpoczynek, który odbyć się miał w gronie dziewięciorga pyzatych i krzykliwych dziatek.

Państwo sześciokonnej karety siedziało w głównym, pięciołokciowym salonie, i pili właśnie herbatę. Sądząc z przyboru herbaty, możnaby wnosić, że przybyli gdzieś z kraju herbaty, a jeżeli nie z Chin, to przynajmniej z sąsiedniego im państwa.

W dużym krześle siedział prosty, jakby kij połknął, jakiś chudy, łysy staruszek, i żuł wonne pastelki. Obok niego podparła się na ręku jakaś młoda śliczna kobieta, patrząc czasami na niego okiem pełnem kokieterii. Z drugiej strony rozpierała się jakaś grubo-płaska figura rodzaju męskiego, i zajadała z wielkim ferworem smaczne szpiglowskie kaczki. Chudy staruszek trzymał na ręku papugę i wpatrywał się z rozkoszą w jej ruchy głupkowate. Szczebiotała mu ona coś do lewego ucha, a nawet okazywała zazdrość, jeżeli siedząca obok młoda kobieta to samo do prawego ucha uczynić chciała. Staruszek cieszył się tą emulacją

najdroższych sobie istot, a w szczęściu swojem nawet nie wiedział, na którą stronę miał się przychylić.

Na jego szczęście przyszła służąca, i odwołała panią. Młoda kobieta rzuciła okiem na swoją towarzyszkę, a całując staruszka w głowę rzekła:

— Je vous quitterais monsieur pour un moment.

— Avec qui resterai - je ma chere? zapytał się smutno towarzysz.

— Avec Cacado!

— Bien, bien, zaśmiał się staruszek, hâtez-vous de la remplacer!

Przyszedłszy do swego pokoju, zamknęła drzwi i zapytała się służącej:

— Więc widziałaś go dobrze? A drugi był bronet? Czy przyjechał w ładnym ekwipażu? ma ładne konie, i wiele ludzi, a jaka liberja?

— Och Jejmość, odpowiedziała służąca, wszystkiego tego niewidziałam. Jakaś potargana bryczka, w jakiejby panna służąca jechać nie chciała — szkapy gdzieś najęte, furman w guni, a drugi pan, to coś niby jak ekonom.

— *O mon Dieu!* krzyknęła pani, tego potrzeba było jeszcze!... Słuchaj Anusiu, ten ot bilecik... czekaj... zanieś do panicza, ale tak, żeby oberżysta ani nikt z ludzi nie wiedział. Rozumiesz mnie — aby nikt nie wiedział....

Zręczna subretka wypełniła rozkaz pani, a w kilka minut potem, czytał podróżny roztasowany między dziewięciorgiem Szpiglątek następujące słowa:

„*Chèr frere.*”

„*Je vous embrasse mille fois*, a jeżli tego w tej chwili uczynić nie mogę, jest to tylko przyczyną *de ma nouvelle situation*. Jestem tutaj *incognito mon cher*, a jako brat rozsądny, uznasz potrzebę powstrzymania zbytniej czułości. Jeżli jednak twoja *tualeta* na to zezwoli, to możesz pod jakim pozorem wymknąć się na kilka chwil z swojej kwatery, i małemi schodkami przyjść do mego pokoju. *Vôtre soeur.*

C. B.

P. S. *A propos* tualety, uprzedzam cię, że cię może komuś obcemu przedstawię.

Kazimierz przeczytał kartkę kilka razy, i chciał czemprędzej biegnąć do Roberta, który ulokował się w pokoju bez sufitu, ale rozważywszy tajemniczy swojej siostry stosunek, przedsięwziął sam pierwej w tak niespodzianem zdarzeniu się rozpatrzyć. Wziął czarny tużurek i pod pozorem przechadzki wymknął się z pomiędzy Szpiglątek.

Ujrzawszy siostrę chciał się rozczulony brat rzucić w jej objęcia, ale wstrzymany nadstawioną ręką, poprzestał na dwukrotnem cmoknięciu w powietrze.

— O jakżeś ty zrubaszniał *mon cher*, przemówiła siostra, chciałeś mnie zadusić twemi uściskami, abyś był jedynym spadkobiercą..

— Dla Boga, czy umarł? krzyknął przestraszony Kazimierz.

— Umarł, ozwał się przerażający głos z przyległego pokoju.

Kazimierz spojrzał na siostrę, która zbladła jak chustka — nogi się pod nim zachwiały.

— Przeklęty Kakado! zawołała po chwili przychodząc do siebie — ach to Kakado, papuga pułkownika.

Nastąpiła chwila milczenia; głos papugi nasunął obojgom dziwaczne myśli:

— Muszę ci w kilku słowach wytłumaczyć moje obecne położenie. Pułkownik który mnie tutaj swoim ekwipażem odwiózł, jest moim narzeczonym. Za kilka tygodni weźmiemy ze sobą ślub. A że mnie szalenie kocha, wymogłam na nim, że tu zemną przyjechał i obiecał, jeżli mu się położenie spodoba, spłacić długi z naszego majątku, i sam w nim osiąść. *Vous etes si discret*, mon frére, i rozważysz najprzód, że to jest krok poświęcenia z mojej strony, że do szkandału familijnego nie przyjdzie, bo jużciż dla starego grzyba nie mam wielkiego afektu; a powtóre, że i pułkownik czyni wielkie poświęcenie, jeżli płaci za majątek więcej, niżeli on wart jest. *Il faut avoir de la reconaissance* z naszej strony, a jako prawnik uznasz za rzecz słuszną, że ten co płaci jest właścicielem. Dlatego, spodziewam się po tobie, że podpiszesz cesyą wszelkich pretensyi na moją osobę... tym tylko sposobem możemy uratować dóm nasz i majątek rodzinny...

— Z całego serca — zawołał Kazimierz, który w tej chwili zapomniał, że jest prawnikiem. Myśl bowiem siostry zdawała mu się bardzo zbawienną. Widział on, że tylko stosunki majątkowe przyprowadziły ojca na brzeg grobu, i marzył, że wyklarowanie się takowych, może mu wrócić zdrowie i siły, a uszczęśliwionej rodzinie utrzymać ukochanego ojca. To też przystał na projekt siostry.

Odniosłszy tak łatwe zwycięztwo nad bratem nabrała Kamila odwagi, i dalej swoje plany rozwijać poczęła.

— Widzę, że masz rozsądek, dla tego nie weźmiesz mi za złe, jeżeli cię zapytam, jakim ekwipażem przyjechałeś?

— Ekwipażem? wszak wiesz, że jesteśmy bankruci a z kąd brałbym ekwipaże? Najęliśmy z Robertem bryczkę.... a zapomniałem go o twoim przyjeździe uwiadomić.... pozwolisz że pójdę...

— *Laissez le, mon cher* — Byłobyto *mal a propos*, wprowadzać do pułkownika takiego człowieka; ot lepie, powiedzieć, że to twój sekretarz lub kamerdyner..

— Co mówisz Kamilo!... to mój przyjaciel, to mój...

— To mój... także przyjaciel, czyli wybawca, i chętnie bym na ustroniu kilka chwil z nim pogadała. Ale chciej zważyć nasze położenie. Ja w Warszawie uchodziłam za córkę Bóg wie jakiego magnata, i jako taką wiezie mnie

teraz pułkownik pan milionowy, który pod Kazanem ma półmiliona dusz.... a my tu chcemy prezentować przed nim takie figury *d' une basse condition*....

— Kamilo ty ranisz mnie...

— *Ah comme vous etes sensible*! Mówię ci, że i ja najchętniejbym go widzić chciała, ale *la convenance*, moja przyszłość niepewna... trzeba do czasu grać rolę, inaczej zrobimy *fiasco*.... Ale, ale o ekwipażu zapomniałam. To jest najważniejsze. Jakże cię teraz pułkownikowi przedstawię, a gdy on się dowie, żeś przyjechał budką żydowską!....

— To bryczka, Kamilo!

— Bryczka, bryczka, dla czego nie faeton?...

— Bo go nie mam.

— Oh, to prawdziwa rozpacz! piękna familia! Ojciec bankrut, wierzyciele żydzi najordynarniejsi, brat na wózku ekonomskim... a ja mam zrobić dobrą partyę! mam się za nich poświęcić....

— Droga Kamilo...

— *A propos*, a jak tam twoja garderoba — przynajmniej może się nie powstydzę....

— Kamilo! tylko przez wzgląd na ojca, który przez ten krok twój może zdrowie odzyskać, słucham cię. Co do garderoby, wszak widzisz, że mam cały tużurek.

— Cały prawda, ale nie zbyt wykwintny. Zresztą to wieczór, i możesz go przeprosić, żeś w podróży. Zapewnie wyjedziesz ze świtem, to pułkownik i twego forszpanu nie będzie widział. Inaczej umarłabym ze wstydu.

(C. d. n.)

UPOMINEK.

Wczoraj dała mi te kwiatki,
Co zrywała zemną w lesie,
Płyńcie kwiatki do jej chatki,
Czy was pozna i podniesie?

Płyńcie, płyńcie lube kwiatki,
Wprzód nim łódka mnie zaniesie,
Gdy was ujrzy z okna chatki,
To was pozna i podniesie.

Przyszły kwiatki do ogródka,
Lecz ich dziewcze nie poznało!
Przyszła z falą znana łódka,
Lecz sternika jej nie stało! —

J. C. Z.

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

II.

W LUBIENIU.

Tam nagromadził wszystko, co mu mogło zapewnić dobre przyjęcie w świecie kąpielowym, który ma zawsze, jakby celną komorę, pewne grono matek, ciotek, wujanek i stryjanek, które robią przegląd przybyszów, ażali ich powierzchowność sukniowa nadaje im prawo wejścia w świat modny, i stanowi rękojmię ich lepszego pochodzenia, a tem większej wartości, im ściślej dochowana jest moda w wyborze lakierowanych butów, batystowych koszul, i kamaszów lub sztylpów żokejowych. Świat ten wyższy niby (zapewnie stosownie do prawideł fizyki, wedle których pęcherze pływają po wierzchu) żąda ostentacyi, żyje w ostentacyi i niestety! ginie w ostentacyi. Smutna to kolej tylu rodzin naszych, których szczególni przedstawiciele, dzięki tej ostentacyi, jeżeli nie dali nurka gdzieś w węgierszczyznę lub tureczyznę, to nędznie poginęli, zapomnieni, pogardzeni i wyśmiani, bo goli. Prawda, że takiemu na pocieszenie przyczepiają po śmierci, jak umarłemu kadzidło, frazes: „on umiał żyć!"

Lecz dosyć morałów! nim je napisałem, wyżyłem z półtabakiery, a cóż dopiero dziać się musiało z czytelnikami moimi?

A więc drugiego czerwca roku **** pańskiego przed samem południem zatoczył się dwukonny kabryolet przed fronton łazienek lubieńskich, i wylazł z niego z pańską niedbałością pan Felix Chromacki, w trzewikach czarno lakierowaną skórą obszytych, szerokich czerwono-kraciastych szarawarkach, w stalowego koloru pudermantlu, z lornetką, po brzuchu balansującą na centkowanej kamizelce à la Napoleon. Kabryolet, świeżo odnowiony, połyskującą materyą wybity, z mnóstwem świecidełek, klamer, guzików i sprzączek, godnych pstrokatej myśli wylęgłej w ufryzowanej głowie właściciela. Para kasztanowatych żydowskich anglików, krótko trzymanych, często batogowanych, aby przechodniom drzączkę nóg nieustannem trawersowaniem zamaskować, kudłaty furman, i sążnisty na czas kąpielowy najęty lokaj, waliza z tyłu, skórzany tłomoczek z przodu, włóczkowa poduszka i torba, pąsem podszyta burka, oto cały extrakt materyałowej zaliczki, cała nadzieja przyszłych powodzeń, całe *mecum porto* naszego bohatyra.

— He garçon! mieszkanie! — zawołał głosem, którym o ile mógł tylko naśladował ten dumno arystokratyczno-impertynencki ton naszej młodzieży, gdy raczy przemawiać do niższego od siebie *motłochu*.

Na to zawołanie pojawił się jakiś starowina już w krótkim surducie z krótko strzyżonemi włosami, z byłego ekonoma w garsona przedzierzgnięty. Skłonił się nisko i

dotknięciem ręki po niżej pańskich kolan powitał przybysza.

— Gdzie Jaśnie Pan każe?

— W domu piątrowym, ludzi zaprowadzić!... a.. podać także księgę kąpielową.... czy słyszy?.... czy rozumie?.

Stary ekonom wybałuszył jeszcze więcej cebulowe oczy swoje, bo i nie wiedział o co rzecz idzie, i mniemał na prawdę, że nowy gość do kogoś trzeciego przemawia.

— No! jakże! podać mi spis osób kąpielowych.

— A! a— odrzekł zaimprowizowany garson, poskrobał się w rudą peruczkę, podkasał poły, i z zatłuszczonej kieszeni rajtuzowej dobył całą pakę kwitków i rachunków, lecz snać nie znalazł, bo po chwili odrzekł:

— Nie mam przy sobie, ale zaraz przyniosę Jaśnie Panu do stancyi.

W godzinę później siedział pan Felix w obszernym pierwszopiętrowym pokoju i sylabizował spis osób ekonomskiemi kulasami nabazgrany. Jeszcze dwudziestu nazwisk nie zdołał odcyfrować, gdy okazała się jakaś postać ufrakowana, na której karku prawie wjechał interimalny lokaj pana Felixa, i wrzasnął urzędowym głosem:

— Pan Szpakowski!

— A witaj kochany Felixie!

— Józefie i ty tu?

Uściskali się oba najserdeczniej. Pan Felix przystąpił szybko do interims-lokaja, i szepnął mu do ucha!

— Mówiłem Ci już, Janie, że anonsując sam wchodzisz naprzód, a po tobie dopiero pan czy pani oddający wizytę.

— Kiedy bo to, prosze pana, jakoś nie pięknie, żeby ja naprzód.....

— Osioł jesteś i kwita.

— Dobrze panie...

Nowo przybyły oglądał się tymczasem ciekawie po pokoju, i z pewną uwagą opatrywał pootwierane walizy i dobyte z nich stroje, flaszeczki i inne świecidełka.

Inwentarz effektow pana Felixa zrobiony szybko przez Szpakowskiego wypadł snać na korzyść naszego bohatera, bo się uśmiechnął, i czule spojrzał na szkolnego kolegę, a w duszy pomyślał: Felix porósł w pierze, można go będzie poskubać.

— Dawno nie widzieliśmy się, wyrzekł pan Felix.

— Nie uwierzysz, jak się cieszę twojem zdybaniem tak niespodziewanem dla mnie, odrzekł Szpakowski. Lecz cóż tu robisz?

— Zwyczajnie przyjechałem do kąpiel.

— I ja się kąpię, bo mi dokuczają romatyzmy.

Skłamał poczciwy Szpakosio. Ludzie jego rodzaju żadnych nigdy nie mają romatyzmów. On po prostu dowiedział się przypadkiem, że nasz bohater dostał zaliczkę wspomnianą, i że myśli do Lubienia przyjechać; reszty sprytny prawnik domyślił się.

— A przytem, mówił dalej tonem obojętnym; robię przegląd kieszeń i serc przybywających tu panien i wdów na wydaniu, aby w razie potrzeby ofiarować przyjaciołom moje *dobre usługi*. Jeżeli ci się na coś przydać mogę, kochany Felixie, rozrządzaj mną, wszak wiesz, że ja cię kocham. Przyjaźń szkolna, to najsilniejsza przyjaźń; dodał patetycznie, patrząc ciekawie na kubek, którego barwa i połysk na srebro patrzały.

— Ja też przed tobą żadnej niemam tajemnicy, i powiem ci otwarcie, że postanowiłem bezłomnie ożenić się. Cieszę się zatem podwójnie, że cię zdybałem, bo wierzę w twoją przyjaźń, i wiem ile mi możesz dopomódz. A że zechcesz nie wątpię....

— Najchętniej! przestrzegam cię tylko, że dotąd nie widzę tu w Lubieniu żadnej stosownej dla ciebie partyi. Znam twoje słuszne wymagania.

— Widzisz mój drogi! te wymagania zmieniły się nieco.. Ja zeskromniałem mój poczciwcze. Powiedz mi więc, kto tu bawi z osób, które mnie mogą interesować?

— Najprzód wymienię ci twoją znajomę pannę Julię Draniewską, jest tu z matką.

Widujesz ją?

— Przed chwilą odprowadzałem obydwie do salonu.

— To wybornie! powtarzam ci że zeskromniałem mocno; zresztą, jak sam mówisz, partya świetna nie pojawiła się dotąd, a powtóre trzydzieści tysięcy także nie są do pogardzenia. Ta tylko zachodzi trudność; że poznałem ją roku przeszłego jeszcze na kuligu i zbliżyłem się do niej, a nawet wypaliłem coś podobnego do oświadczenia. Tymczasem zaskoczyła mnie, jak wiesz, druga lepsza nadzieja, bo było w perspektywie 300.000; polecieliśmy za niemi na Węgry, lecz się nam nie powiodło. Widziałem potem Julię raz tylko w przejeździe przez Szczawnicę, nie wiem tedy, czy nie jest złej woli na mnie, i trzebaby to jakoś zgrabnie się wytłumaczyć.

— Nic łatwiejszego, trzeba coś skłamać, a toż przecie potrafisz. Ja ci utoruję drogę, przebąknę coś o sprawie honorowej, dla której musiałeś jeździć za granicę, i wszystko pójdzie jak z płatka. Radzę ci, byś nie wiele wychodził, mało gdzie bywał; to cię zrobi więcej interessującym. Za to wieczorami dojeżdzać sobie będziemy do Lwowa, i odwetujesz sobie w kawiarni, a powiadam ci, śliczną mamy tu teraz kawiarkę Terenię.

— Zrobię wszystko wedle twojej rady.

— Apropos! czy już nie masz tabularnego majątku?

— I owszem, Wyżniowa dolna na mnie zaintabulowana, lecz figuruje tylko pro forma, bo długi przewyższają wartość.

— Dzieciństwo! a masz ty z sobą extrakt tabularny?

— Mam, ale tak jest zasmarowany, że mi więcej zaszkodzić niż pomódz może.

— Nie znasz się na tem. Extrakt jest dwulicowy, są

aktywa i passywa, można więc tu dodać tam ukrócić, to już moja rzecz; *c'est mon metier*, ja temu poradzę, daj mi tu ten extrakt. Wziąwszy gruby plik z rąk pana Felixa, porwał Szpakowski za kapelusz.

— Idę zająć się twojemi interesami; a może i co innego jeszcze wymyślę. Miałem wprawdzie odjechać koniecznie do Lwowa, bo jestem zupełnie goły.

Zrozumiał pan Felix od razu, do czego dąży ta przemowa; lękliwym tedy zapytał głosem:

— A.... a wieleż ci trzeba?

— Na teraz nie wiele! piędziesiąt ryńskich byłoby dosyć.

Z cichem westchnieniem dobył pan Felix pieniądze i wręczył je uradowanemu Szpakowskiemu.

— Do widzenia się!

— Do widzenia w kawiarni o jedenastej.

(C. d. n.)

OBRAZKI WIEJSKIE.

Jarmark.

(Dokończenie)

Znając go dawniej zbliżyłem się do niego.

— A jak się waść masz, panie Dezydery radzi lepiej, słyszałem, że acan się żenisz. Mój Boże! za moich czasów taki młokos (miałem lat 23) nie myślał o żonie. Wierz mnie jak Bogu wierzysz, miałem lat 27 z okładem, kiedy mnie także kusiło się żenić. Pojechałem do Krakowa do babki po błogosławieństwo. Cóż to asan taki smarkacz i już myślisz się żenić? powiedziała mi; ś. p. mąż mój miał lat 47, jak się ze mną ożenił, a jednak Boże odpuść jedenaścioro dzieci miał ze mną, które że nie były ułomkami widać po asanu, co już o zaprowadzeniu trzeciego pokolenia myślisz.

Chcąc przerwać rozmowę o ożenieniu spytałem: Czy pan kupiłeś co na jarmarku?

— Radzi lepiej, a ktoby się przed tymi poganami żydami czego dokupił; te łotry wszystko dziś w swych szponach trzymają! Wierz mnie jak Bogu wierzysz, dawniej tego nie bywało!

— Ny jakto? czy dawniej żydkowie nie handlowali? wtrącił stary Grosman.

— A ty bestjo żydzie! czy to ty nie wiesz, jacy to dawniej żydzi byli maleńcy? Jeśli handlowali, to tylko produktami, i to po cenach uczciwych, nie tak jak teraz, co to na wpół darmo wszystko kupujecie. Dawniej żyd musiał dać cenę przyzwoitą, bo szlachta miała kredyt co się nazywa; nie taki dzisiejszy wasz kredyt na ogromną lichwę. Tam mospanie gdzie jest lichwa, tam nie ma kredytu. Dawniej szlachcic jak potrzebował pieniędzy, to się udał do przyjaciela, albo sąsiada; zapłacił mu sześć od sta na rok i było cicho, sza, nikt o tem nie wiedział, a za to żydki widząc, że niema gwałtownej potrzeby, zapłacili mu za produkt tak jak należało.

Teraz zaś wierz mnie jak Bogu wierzysz, jeśli jeden szlachcic drugiemu wygodzi, to także na lichwę, na wexle, a zaraz się z tem zacznie chwalić przed żydami, a kiedy termin nadejdzie, to tak roztrąbi, że biedny jego dłużnik albo nie może się w słowie uiścić, albo mu też ta sąsiedzka przysługa kością w gardle stanie. Albo dawniej jak miałeś jaki kapitalik, pojechałeś do jakiego pana wielkiego; dałeś mu go, a w procencie wziąłeś jaki folwarczek w dzierzawę i siedziałeś jak u pana Boga za piecem; a teraz szlachcic jak ma kapitalik, to zaraz mu się zachciewa być dziedzicem; albo też rzuca się na wielką dzierzawę, a nie mogąc jej podołać, dalejże do żyda po pomoc. Żyd da pieniądze, ale i całą korzyść z dzierzawy zabierze, a potem szlachcic odbija się na dziedzicu, niszcząc mu dzierzawione dobra.

U pana jakiego spróbuj wziąć dzisiaj dzierzawę; to nietylko że ci puści dobra zniszczone, w których jak nad brzegami bezludnemi Mississippi w Ameryce musisz pracować, nie tylko że mu musisz dać kaucję, z którą chyba w Antypodach się zobaczysz; nie tylko że cię czynszem ogromnym obłoży, ale zamiast kontraktu da ci kodicyl, i kiedyś już zapłacił, przekonasz się, że ci nie doda tego co w kontrakcie obiecał.

Zamiast lasu da ci krzaki, da ci użytek z kępy, a potem powie, że co grubsze nad 16tą część cala, to już nie jest chrustem, i to na swój rachunek wyprzeda. Udaj się do niego z przedstawieniem twoich słusznych żądań, to ci powie, że to w kontrakcie nie *stypulowane*, zostaje ci zatem droga procesu; ale przysłowie mówi: *„Że nim tłusty zchudnie, chudemu Requiescat zaśpiewają*.

Jeszcze panowie jak panowie, oni o wszystkiem wiedzieć nie mogą, ale..... No dajmy temu pokój; lepiej zapijmy tę sprawę. Żydzie dajno tam jeszcze parę butelek!

Grosman z pospiechem przyniósł żądane wino; trąciliśmy lampeczkami na dowód przyjaźni, i p. Paweł rzecz swoją dalej prowadził.

— Albo to dawniej, jeśli Bóg kogo nieszczęściem nawidził i spuścił na niego pożar, to panie sąsiedzi zaraz hurmem się zlecieli, i jakoś to było tak dobrze, tak miło. Każdy dał co mógł, a biedny dotknięty nieszczęściem nie tylko że miał szkodę wynadgrodzoną, ale do tego doznał szczęścia prawdziwego, gdy widział tę miłość bliźniego, to braterskie współczucie, które go z biedy dźwignęło. Dziś jeśli chcesz być spokojnym, to musisz płacić zagranicznym towarzystwom nowy podatek, a gdy cię spotka nieszczęście, to jeszcze cię oszukają. Musisz się opłacać, a potem mimo tego, żeś dużo utracił, publicznie jakimsić żydom agentom, co cię i tak zdarli, dziękować. Dawniej nikt o assekuracji nie słyszał, a mógł spać spokojnie, bo on się zabespieczał nie w towarzystwie ogniowem, ale zabezpieczony był w ser-

cach sąsiadów i poczciwej szlachty. No prawda, że też to dawniej za to, jak się kto spalił, to już pewnie tylko z dopustu Bożego; a teraz czasem ogień przyjdzie ni tak ni siak... Ale dajmy temu pokój! radzi lepiej, no twoje zdrowie p. Dezydery!

Otóż tak mosanie; wierz mnie jak Bogu wierzysz, co raz gorzej się u nas dzieje; a kto temu winien? Oto bieda, potrzeby coraz większe, brak powszechny zaufania, a przytem że jakoś uczciwość u nas znika z horyzontu. Jak się namnożyło tych doktorów, chirurgów i felczerów prawa, jak zaczęli leczyć szlachtę, tak ją też wyleczyli z uczciwości. Partacz w medycynie nie tyle szkodliwy, bo on przynajmniej jeśli zabije, to tylko fizycznie; ci zaś zabijają materjalnie i moralnie. I cóż ztąd za korzyść? oto żydzi się bogacą, owi doktorzy i felczerzy także niemają krzywdy, a szlachta coraz bardziej upada. Cieszymy się ciągle postępem; bodaj tam taki postęp poszedł do piekła! Piękny mi postęp, kiedy świat cały stoi na oszustwie! Ej dajmy temu pokój. Radzi lepiej, zapijmy tę sprawę!

I znowu trąciliśmy w lampeczki; ja poczułem, że kolor złoty wina w czerwonym kolorze na moją twarz występuje. Już ledwie że nie zacząłem na wzór p. Pawła rozwodzić się nad złemi czasami, gdy mnie z tego położenia uwolniło przybycie mojego geniusza opiekuńczego pana Alexego.

Pan Alexy do takich szlacheckich posiedzeń nie należał; częścią, że się miał za coś lepszego i kwaśnego wina nie lubił, a może też i częścią dla tego, że się bał tego *in vino veritas*, które tak strasznem jest dla tych, co mają swoje *słabe strony*. A że od nich p. Alexy wolnym nie był, okaże koniec tego obrazku.

Pan Alexy ukłoniwszy się tylko zebranej szlachcie, wywołał mnie na miasto i tam mi powiedział, że widząc, iż ja nie mam do niego zaufania i bałem się kupić kasztanków, przedał je żydowi z Krakowa; więc że już teraz, niemogąc go posądzić o jakiś interes, najlepiej zrobię, gdy dam 50 reńskich odstępnego, bo to te klacze takie jakich trudno żebym dostał gdzie indziej.

Przekonany o bezinteresowności p. Alexego, zagrzany przytem lampeczkami p. Pawła, dałem się nakłonić. Kupiłem te kasztanki za 1450 reńskich, podziękowałem jak najczulej panu Alexemu, a przyjechawszy do domu dowiedziałem się, że ze czterech kasztanek była jedna ślepa, dwie dychawiczne, a jedna kulawa.

Później zaś dowiedziałem się, że żyd z Krakowa był tylko użytym dla lepszego mnie ułowienia, i za to 20 reńskich faktornego dostał. P. Alexy śmiał się i chwalił, że złapał we mnie *Fryca*, w czem mu jemu podobni dopomagali.

Niechże teraz kto twierdzi, że między szlachtą niema ludzi przemyślnych, niech przyjedzie do p. Alexego, a przekona się, że są między nami tacy, którzy w przemyśle nawet żydów zawstydzić są w stanie.

Dezydery Ruralis.

Rozmaitość.

Z Krakowa. Wpomnienie pośmiertne: *Michałowski Piotr, Rzesiński Jan Kanty Hieronim Stefan. — Anczyc Zygmunt.*

(Dokończenie)

Któż nie znał przynajmniej w naszych stronach, w stronach królestwa Polskiego i księstwa Poznańskiego zasłużonego artysty, ostatniego może towarzysza z ogromnego pocztu artystów Bogusławskiego?. Pokolenie stare i nowe widywało przez lat 60 na deskach teatralnych jednego z najcelniejszych aktorów: *Zygmunta Anczyca.* Umarł on r. b. dnia 5 Czerwca; a do ostatniego roku życia swojego nie opuścił sceny, chociaż w ostatnich latach pamięć i siły nie odpowiadały chęciom, jednakże publiczność szanując włos siwy artysty i tyloletnie zasługi, życzliwe zawsze niosła mu oklaski. Urodził się we Wilnie w roku 1778 czyteż może 1782, pochodził z rodziny zamożnej i na Litwie od dawna osiadłej. Mając lat 16 przyłączył się do kompanii teatralnej idącej na prowincyą, i tam rozpoczął swój zawód. Mając 26 lat opuścił scenę, aby zostać rządcą dóbr.

W czasie kampanii Napoleona bawił w Petersburgu, a gdy ze śmiercią właścicielki dóbr ustały obowiązki jego, wrócił napowrót na scenę. Pierwszy raz przybył do Krakowa w roku 1826. z Warszawy, i wystąpiwszy w dniu 17 i 21 Czerwca t. r. w roli Biedosza w Asmodeuszku, podobał się powszechnie. Odtąd prawie ciągle pozostawał przy kompanii artystów krakowskich, dzieląc jej losy po różnych miastach prowincyonalnych, już to jako aktor, już to jako dyrektor trupy, biorąc bezpośredni udział w kolejach pomyślnych i niefortunnych sceny. Skreślenie dróg, jakiemi przeszedł począwszy od czasu, kiedy w dziewiątym roku życia oddany na nauki do wuja w Wrocławiu, z tamtąd po 6ściu latach uszedłszy został wzięty przez Prusaków do wojska; następnie jak po kilku miesiącach dezerterował z wojska i przedarł się na Litwę, i jak potem brał udział w urządzaniu scen we wszystkich miasteczkach większych Litwy, Królestwa i Poznańskiego, skreślenie tych wszystkich szczegółów rzuciłoby światło na zostające dotąd w pomroce dzieje sceny polskiej w ostatnich latach sześćdziesięciu.

Anczyc zasłużył się zarazem jako tłumacz wielu dzieł teatralnych, ktore to tłumaczenia, lubo nie odznaczały się wcale dobrą polszczyzną, wyborem treści i dowcipu, jednakże w swoim czasie, przed laty kilkudziesięciu, były potrzebne i bardzo pożądane. Celniejsze przekłady jego są te: 1. Bóg znami, czyli powrót niewolników do ojczyzny. 2. Pięćdziesiąt tysięcy talarów. 3. Ulicznik Paryzki. 4. Jedna godzina w Krzeszowicach. 5. Wolny strzelec, opera. 6. Kocia muzyka, czyli Akademicy Wiedeńscy. 7. Grenadyery. 8. Kardillak, łupiezca i morderca. 9. Kartusz, rozbójnik. 10. Śmierć i dzierżawca. 11. Na dole i na pierwszem piętrze. 12. Wesoły Frycek. 13. Marnotrawca. 14. Hinko. 15. Dwie uczty. 16. Poznanie się na plantacyach. 17. Arseniusz, nieprzyjaciel kobiet. 18. Dwóch lunatyków. 19. Cztery temperamenta. 20. Mieszkanie do najęcia, 21. Napoleon w Brienne. 22. Republikanie czyli równość zupełna.

Przekłady te jego poczynione są z niemieckiego języka, a przerabiane częstokroć z zastosowaniem do miejscowości, ale nie zawsze zręcznie i z wyższem namaszczeniem.

Synem tegoż zasłużonego artysty jest Władysław Ludwik Anczyc, autor słusznie tak ulubionych wesołek: Chłopi Arystokraci, Łobzowianie, Flisacy i t. d.

Na tem zakończam nekrologi, pozostawiając pole do obszer-

niejszych opisów, bibliografom i biografom, korespondent bowiem tylko na nawiasowych wzmiankach ograniczać się musi. Kończąc zaś tę korespondencyą upraszam przy sposobności o sprostowanie dwóch grubszych pomyłek wciśniętych w poprzednią korespondencyą Nowin Nr. 68. a mianowicie: zamiast tenorzysta *Seiler* poprawić *Künzel*, zaś w wierszu drugim od końca pierwszej szpalty zamiast fortepianistki *Julii Bzowskiej*, poprawić *Jadwigi Brzowskiej*.

* **Wystawa paryzka.** Na przedstawienie księcia Napoleona jako prezesa wystawy dekretem Cesarza Francuzów, zostało dozwolonem wolne wnijście na salę wystawy, codzień dla 1500 żołnierzy z załogi paryzkiej. Do ciekawości wystawy należy stojąca w oddziele przemysłowym Wenus, nie wielka ale dzielnie wykonana. Przypatrujący przysięgną że jest z najbielszego alabastru, i łamią sobie nad tem głowę, dla czego nie umieszczono ją w oddziele sztuk pieknych? I w rzeczy samej Wenus pomiędzy głowami cukru, co sprawia nawiasem powiedziawszy tragiczno-komiczne wrażenie! Lecz inaczej być nie może, bo ta śliczna bogini piękności jest sama głową cukru tak misternie wyciesaną, i pochodzi nie z piany morskiej, ale z poczciwych buraków. Wkrótce też spodziewają się widzieć na wystawie najciekawszą bo żywą ciekawość. Ma bowiem przyjechać do Paryża dama jedna chińska umyślnie, aby odwiedzić wystawę. Mówi dobrze po francusku, gra w szachy doskonale; zowie się Kheng-Tka-Taug, i podróżuje z dzieckiem swojem, i ze służącą. Wielkie podziwienie sprawiają widne z daleka złote globusy czy balony bajecznie olbrzymie, świecące jakby najszczersze złoto, stojące na pysznych podstawach. Są to trzy ogromne kotły parowe z fabryki Hekmana w Berlinie, z blachy miedzianej. Barwę i połysk mają złota, a przytem kształt tak jest piękny, że wydają się jakby jakie wazy kolosalne z złotego serwisu dla bogów chyba przeznaczonego. I w rzeczy samej są to wazy przeznaczone dla boga naszych czasów, dla wszechwładnej pary. Niedaleko z tamtąd zdybać można pomysł nadzwyczaj sprytnie i wytwornie wykonany. Pomysł jest Wiedeńczyka. Przechodzien widzi naraz obraz żywemi barwami wyrobiony, i mniema, że to jest ślicznie wykonany haft włóczkowy. A to jest tymczasem obraz złożony z różnobarwnych główek fosforowych patyczków, które są ułożone w najdelikatniejsze odcienia, z takiem mistrzowstwem, że się zda widzieć obraz przed sobą. I ten obraz przedstawia wybuch Wezuwiusza.. Zaiste doskonała myśl na obraz patyczkami palącemi wyrobiony. Obraz ma także ramy z samych patyczków ułożone w najrozmaitsze arabeski.

* **Szczególny apetyt.** Jak wiadomo ogromna toczy się teraz wojna w Lipsku między Aleopatami i Homeopatami. Wojna ta znalazła odgłos w Wrocławiu; jakoż nowa gazeta z nad Odry podała ciekawy w tej mierze inserat. Jakiś lekarz Wrocławski obowiązuje się naraz bez szwanku wszystkie znajdujące się tu apteki pozjadać, nie wyłączając nawet przeciw syfilistycznego elixyru doktora Lobethal, który obowiązuje się spożyć przy pierwszej lepszej potrawie.

* JC. Wysokość Arcyksiąże Karol Ferdynand z Najdostojniejszą małżonką swoją Arcyksiężniczką Elżbietą, dziś ma przybyć do stolicy naszej, gdzie dni parę zabawi.

* W przeszły czwartek banda wojskowa z pułku Lichtenstein odprawiła wieczorem wielką serenadę Jenerałowi dywizyi przybocznemu główno komenderującego Jenerała hr. Hess, JW. p. Teuchert który odjechał do Wiednia.

* Dobrze nam znana spiewaczka p. Flora Schreiber-Kirchberger, dziś pierwsza spiewaczka opery w Peszcie, przybyła do nas na role gościnne. Dziś występuje w Lindzie z Chamounix.

Przyjechali od dnia 11. do 12. Lipca do Lwowa.

PP. Mier Henryk hr. z Truskawca. Malczewski Juliusz, z Skwarzawy. Badeni Aleksander hr. z Tarnopola. Onyszkiewicz Fortunat, z Borussowa. Karnicki Kajetan hr. z Bełzca. Wierzbicki Julian, z Kutkorza. Udrycki Adolf, ze Stryja. Komorowski Kazimierz hr. z Przemyśla. Małachowski Ludwik, z Rokitna.

PP. Horoszkiewicz Mikołaj, z Łopatyna. Jaruntowski Jan, z Hermanowic. Gottleb Feliks, z Dołhomościsk.

Wyjechali od dnia 11. do 12. Lipca ze Lwowa.

PP. Romaszkan Augustyn, do Uherska. Neudorf Teobald, do Żółkwi. Torosiewicz Konstanty, do Gołogór. Nowakowski Jan, do Brzeżan.

PP. Duchnowski Leon, do Żółkwi. Czacki Aleksander hr. do Krechowa. Skrzyszewski Michał, do Dembicy. Kakcski Jan, do Bronicy. Czajkowski Jan, do Krakowa. Baworowska Emilia hr. do Tarnopola.

Kurs telegrafowany z Wiednia 13. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$123\frac{3}{8}$	Pożyczka 5%	$78\frac{5}{8}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	$90\frac{1}{8}$	Akcye banku		983
Londyn za 1 funt szterl.,	11 $56\frac{1}{2}$	Kolej północna		$2037\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	$122\frac{3}{8}$	Obl. ind.		$67\frac{1}{2}$
Paryż za 300 franków .	$143\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loteryą		$100\frac{3}{4}$
Agio duk. ces. . . .	28	Pożyczka narodowa . .		$83\frac{1}{4}$

Kurs Lwowski Wczorajszy

	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	41	złr.	5	kr	44
Dukat cesarski	«	5	»	44	»	5	»	47
Półimperyał zł. rosyjski	«	9	«	48	»	9	»	52
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	53	«	1	»	54
Talar pruski	»	1	«	49	»	1	«	50
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	»	1	«	23	»	1	»	24
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	18		93	»	40
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		69	»	30	»	70	«	—
5 proc. pożyczka narodowa		83	»	—	»	84	»	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**